

0561

0561 PAN

WIDNOKRECI



ZESZYT V.

ROK

1910.

Handwritten signature

M. OL.

Z TREŚCI POPRZEDNICH ZESZYTÓW :

- Zeszyt 1. Prof. dr. K. Twardowski: Jak studyować filozofię — Dr. Adolf Chybiński: Chopin i muzyka polska. — Karol Irzykowski: Kamerton śmierci, wyjątki z dramatu. — Tadeusz Dąbrowski: Literackie schematy, I. — Feliks Przysiecki: Królowa marzeń. — Z teatru lwowskiego. — Maryan Olszewski: O stylu i jego czystości. — Przegląd społeczny. — Przegląd muzyczny. — Głosy.
- Zeszyt 2. Cezary Jęllenta: Przełom w literaturze śmierci. — M. Borowski: Paradoksy. — Dr. Leon Biegeleisen: Dwie wartości życia zbiorowego. Karol Irzykowski: Kamerton śmierci. — Przegląd idei: Dwie miłości. — Przegląd społeczny. — Przegląd sztuk politycznych. — Przegląd muzyczny.
- Zeszyt 3. Teofil Lenartowicz: Intimo. — Dr. M. Stępowski: Współdziałanie i współzawodnictwo w pracy społecznej. — K. Czapiński: Mistycyzm we współczesnej literaturze rosyjskiej. — M. Olszewski: Sztuka ruchu. — M. Fylanski: O chwała Ci. — C. Jellenta: Przełom w literaturze śmierci. — Przegląd społeczny. — Dr. Manfred Kridl. Życie społeczne w Królestwie. — Polska młodzież akademicka. — Przegląd muzyczny.
- Zeszyt 4. Dr. Bronisław Biegeleisen: Odrodzenie filozofii. — H. Ibsen: Peer Gynt przeł. J. Jedlicz. — Dr. Adolf Chybiński: O wykształceniu muzycznym publiczności. — Tadeusz Dąbrowski: Literackie schematy II. — K. Mackiewicz: Lachowie czy spolszczeni. — M. Olszewski: Sztuka ruchu. — Głosy.

TREŚĆ ZESZYTU PIĄTEGO :

- Franciszek Jaworski: Legenda o koronie polskiej.
Ludwik Eminowicz: Poezye.
Dr. Leon Biegeleisen: Wiara jako czynnik społeczny.
Jerzy Kostecki: Sen mebli.
Przegląd społeczny: I. b. Propaganda ideowa i jej formy.
Przegląd muzyczny: Jan Fryling: Przybyszewski o Szopenie,
Ruch muzyczny.
Przegląd sztuk plastycznych przez J. Kadena.
Prof. Dr. Benedykt Dybowski: Z powodu „Odrodzenia filozofii.”
Książki nadesłane. — Od Redakcyi.

WIDNOKRĘCI

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE POLSKIEJ: FILOZOFII, SPRAWOM SPOŁECZNYM, LITERATURZE, TEATROWI, MUZYCE I SZTUKOM PLASTYCZNYM, POD KIEROWNICTWEM BRONISŁAWA BIEGELEISENA, LEONA BIEGELEISENA, TADEUSZA DĄBROWSKIEGO, JÓZEFA JEDLICZA, MARYANA OLSZEWSKIEGO I LUDOMIRA RÓŻYCKIEGO.

ROK I., ZESZYT 5.

10 MAJA 1910.

561



Franciszek Jaworski: *Legenda o polskiej koronie.*^{*)}

Potomek rabinów i nadrabinów z Brześcia, Chełmu, Pinczowa, Podhajec, niemieckiego Ansbach, a sam rabin w Lipniku, opowiadał stary Pinchas w połowie ośmnastego wieku (1733) rzeczy dziwne, które słuchającym zamajaczyły, jakby sen jaki złoty — czarowna legenda. Zasłyszał ją od ojca swojego Mojżesza który z Podhajec — o mord rytualny posądzony — zbiegł aż do niemieckiego Ansbachu z tem niezłomnem i głębokiem przekonaniem, że na głowie jednego z przodków jego przez cały dzień spoczywała... polska korona.

Stary Pinchas opowiadając to nieprawdopodobne zdarzenie, potrząsa brodą z niedowierzaniem, ale w oczach jego mądrych, które zbadały wszelkie tajemnice Talmudu, był obok pogodnej ironii, także błysk dumy rodowej i wyniesienie ponad inne syny Izraela.

^{*)} LITERATURA: J. Caro, Das Interregnum Polens im Jahre 1587. Kraushar. *Historia Żydów w Polsce*. Lelewel. Polska w średnich wiekach II. Ph. Bloch, Die Sage von Saul Wahl, dem Eintagskönig von Polen, Zeitschrift der Historischen Gesellschaft für die Provinz Posen IV. 1888. W literaturze hebrajskiej głównie „Gedylas Szuel“ (Sława Saula) Londyn 1854. i „Jer tehylu“ (Sławne miasto) historia żydowskiej gminy w Brześciu. Warszawa 1886.

d.
19.7.66
A. 386/66
PAN

Bo oto przed wielu laty zapukał do drzwi Samuela Judy Katzenellenboga w Padwei we Włoszech, wielki pan polski Radziwiłł, który po królu był najznacniejszym mężem w swoim narodzie. Ale równie wielkie były grzechy jego, tak że aż sam papież w Rzymie kazał mu odbyć drogę do ziemi świętej. Oczyszczony ze wszystkich grzechów, został w powrocie z Jerozolimy przez rozbójników do ostatniego grosza obrabowany i oto przyszedł do Samuela Judy po ratunek.

Mąż uczony i chluba ojców swoich, którzy nazwisko „Katzenellenbogen“ wynieśli na dostojne wyżyny w Izraelu, przyjął Samuel Juda Radziwiłła gościnnie, posadził go u stołu swojego, wygodził w potrzebie, a w nagrodę zażądał, aby gość wróciwszy do swojej ojczyzny odszukał i zaopiekował się synem jego Saulem, który już w młodym wieku posiadłszy tajemnice Talmudu i Kabały, poszedł do Polski między rabinów tamtego kraju, aby wśród nich jeszcze bardziej pogłębić swą wiedzę.

Radziwiłł wziął portret młodego Saula i gdzie tylko przybył do jakiego miasta polskiego, srogi wydawał przykaz, ażeby rabini ze wszystkimi swymi uczniami przed jego stawali powozem. Trwoga padła na Żydów i płacz był wielki pośrodku nich, bo bali się synowie Izraela pana groźnego. Ale stawali wszyscy. A on, Radziwiłł, milcząc po nich pozierał ze swego powozu i patrzył na portret, czy gdzie wśród obecnych nie znajdzie podobnego młodziana. Znalazł go wreszcie w siedzibie swojej, w Brześciu litewskim, i kazał mu przyjść razem z rabinem dnia następnego do swego pałacu.

Obydwaj szli jakby na śmierć pewną, bo srogim był i groźnym panem Radziwiłł. Ale on łaskawem na nich spojrzawszy okiem, młodego Saula zachęcił do wyjawienia tajemnicy swego pochodzenia, zaopiekował się nim i na wielkiego a możnego wprowadził człowieka.

Tymczasem umarł król polski i wybuchły wśród szlachty wielkie spory co do obioru jego następcy. Gdy już z tego powodu groziła wojna, ktoś rzucił myśl, żeby wybrać Saula, który rozumem i roztropnością jednał sobie wielki mir u szlachty. Podniesiono jednomyślny okrzyk: „niech żyje Saul, nasz król i władca!“ — no i... Saul został królem polskim.

Rządził wszystkiego dzień jeden, Żydom dał wiele przywilejów, między innymi ten, że szlachcic za zabicie Żyda płacić miał gardłem, a nie pieniężnem pogłównem, jak dotąd bywało, zarządził budowę szpitali dla Żydów i Chrześcijan i wogóle byłby się może nawet przy tronie utrzymał, gdyby nie to, że nadchodziła sobota i Saulowi groził srogi konflikt z własnym sumieniem, jeśliby jako prawowierny Żyd chciał złamać szabas i w dzień świąteczny wykonywać rządy. Zrezygnował więc natychmiast, a szlachta wybrała królem Zygmunta III.

Odtąd przez długie lata żył Saul w spokoju, w dostatku i w wielkiej powadze, córkę Hannach, przedziwnej urody, wydał za nadrabina w Brześciu,

Schorra, a sam od dnia swego wyboru na króla przyjął nazwisko Wahl, które przeszło na syny jego i wnuki.

Tak opowiadał prawnuk Wahla, stary Pinchas, który w r. 1733 był rabinem w Lipniku, a potem z początkiem ubiegłego stulecia Efraim Salomon Margoloth, znany w nauce rabinistycznej mąż i krytyczny tłumacz Talmudu, a wieść o Saulu Wahlu i królewskiej na jego skroniach koronie biegła po przez wszystkie zaułki żydowskie i rosła w czarowny kwiat legendy na brudnym i twardym podłożu doli żydowskiej, w nastroju poniżenia i wzdardy, wśród tęsknego wspomnienia królestwa Judy i Machabeuszów.

Sen o koronie — legenda o purpurowym płaszczu.

W księgach hebrajskich dużo pono o niej napisali mężowie uczeni, opowieść gininna niosła na królewski płaszcz syna Samuela Judy wszystkie kwiaty marzeń, całą tęczę wschodniej fantazyi, a każdy inaczej opowiadał o tem dziwnem zdarzeniu, które szło przez świat żydowski, jako lutnia, arfa i chwała Izraela, jako słup obłoku, gorejący znak łaski i wywyższenia.

A gdy się już sen ów o polskiej koronie skędzierzawił w siedmiobarwne obłoki ułudy, kiedy wspomnienie jego stało się wzorzystą barwą na drodze wiecznej tułaczki — przyszedł jeden historyk i drugi, wykazując cały historyczny nonsens legendy i jej dziejową niemożliwość.

Biedny Saul Wahl i siedm pokoleń jego wnuków i prawnuków! Prawda i krytyka obeszli się z nimi bez żadnej litości, zdzierając płaszcz królewski z ramion jednodziennego króla i ułudę wspomnienia z duszy jego potomków. Na rozigraną dziesiątkiem opowieści legendę powionął zimny wiatr rozumu a sen złoty, cudne marzenie schroniło się w zaułki ghetta i tam żyje, rozgrzewając fantazję tłumów. Czyta dziwną opowieść w sobotni wieczór ojciec synom swoim, a ona tkwi w duszach upornie i z wiarą, że raz przecież, na krótką chwilę, wejrzał Jehowa na lud swój wybrany i dał mu króla własnego, jak ongi za czasów królewskich.

Jak zwykle legenda, składa się i opowieść o Saulu Wahlu z całego szeregu rzeczywistych zdarzeń, a że powiązane ze sobą w sposób fantastyczny, stały się mitem, którego z duszy prostej nie wyrwać ani wymazać. Faktem jest bowiem, że w wieku szesnastym żyła w Padwie, dostojna w swoim narodzie, rodzina Katzenellenbogenów, której członkowie z ojca na syna piastowali tamtejszy rabinat, a jeden z nich pono w wieku XV. miewał na uniwersytecie w Padwie wykłady z zakresu filozofii. Historycy żydowscy widzieli, nawet przed laty kilkudziesięciu, portret jego, wiszący w klatce schodowej uniwersytetu. Faktem jest dalej, że jeden z Radziwiłłów, mianowicie Mikołaj Krzysztof w czasach Stefana Batorego istotnie odbywał podróż do Ziemi świętej i opis jej zostawił w książce wydanej wr. 1614. w Antwerpii pt. „Jerozolimski tana peregrinatio.“ Co ciekawsze, że w czasie tej podróży wydarzył mu się

istotnie nieprzyjemny wypadek z rozbójnikami we Włoszech w pobliżu Pescary, w państwie kościelnym, ale Radziwiłł nie do rabina w Padwie, lecz do gubernatora Ancony udawał się o pomoc, a gdy ten nieznanemu nie chciał wierzyć, znalazł ją u niejakiego Quiriniego, agenta republiki weneckiej. Jest wreszcie w statucie litewskim istotnie przepis o karaniu gardłem za zabicie Żyda.

Również i sama postać Saula Wahla nie jest całkowicie z fantazyi wysnuta. Poważny historyk Ph. Bloch zdołał odtworzyć jego życiorys, według którego jednodzienny król polski urodził się około r. 1541 jako syn rabina w Padwie, umarł około r. 1617 w Brześciu litewskim, dokąd się za młodych lat swoich przesiedlił i gdzie miewał wykłady z zakresu Talmudu. Pewnego dnia jednak porzucił mądre księgi i odtąd ciemność głęboka zapadła na dalszem jego życiu. Z poza tajemniczych obsłonek jednak wyzierało zawsze złoto, bogactwa, znaczenie, powaga, które stać się miały udziałem uczonego talmudysty. Otrzymał podobno od króla Zygmunta III. łańcuch złoty, a nawet i herb, w tormie lwa, wieńczącego koronę orła po prawej stronie i z łacińską dewizą u spodu. Kim był z urzędu i stanowiska, jakie położył zasługi niewiadomo, bo czyny jego rozplynęły się w górnych słowach chwalców pośmiertnych. Po śmierci bowiem, ojca Saula, wspomnianego kilkakrotnie Samuela Judy, podniósł w Wenecyi rabin Leo da Modena w przemówieniu pośmiertnem, że zostawił on syna, „którego sława aż do nas tutaj dobiegła, jako że pierwszym jest mężem wśród swego luhu i bardzo czczonym.“ Wkrótce zaś po śmierci samego Saula pisał jeden ze współczesnych Żydów: „kto nie widział Saula Wahla w otoczeniu dzieci, zięciów i wnuków, ten nigdy nie widział, jak uczoność w piśmie, blask bogactwo, cześć i potęga zjednoczyły się u jednego człowieka.“

Z takich to strzępków złożył się cudny sen ludu żydowskiego o polskiej koronie. Jakimi drogami szła wieść dziwna, kędy jej źródło, jakie odgałęzienia — o tem powiedzieć by mogły tylko tajniki duszy zbiorowej.

Ale sen — czarowna legenda weszła tak głęboko w tę duszę, że jej stamtąd ani wyrwać, ani wykorzenić żadna nie mogła smutna rzeczywistość, ani żadne fakty lub poczucie istniejących stosunków. Wypleniona z jednej chwili dziejowej, natychmiast wyrastała w drugiej, w zgoła odmiennej formie wśród innych warunków. Bo niczem snąc innem, jak tylko ułamkiem wielkiego cyklu żydowskich legend o polskiej koronie jest druga wieść, nad którą dumał już stary Leleweł i drugie podanie o Abrahamie Prochowniku, który jakoby po tragicznej śmierci Popiela zasiąść miał również na chwilę na tronie polskim. W tym wypadku tylko los szczęśliwy przyniósł żydowi koronę. Kiedy bowiem rozogniła się kwestja, kto po Popielu zostać ma królem, oddano rzecz do rozstrzygnięcia przypadkowi, w ten sposób, że pierwszy kto wejdzie dnia owego o świcie do Kruszwicy, ten zapanuje nad Polską. Szczęśliwym był Abraham Prochownik, który niósł do miasta proch (!) i jego okrzyknięto królem. Roztropny

elekt zażądał jednak jednego dnia do namysłu, a nakazawszy surowo, aby mu niczem nie przeszkadzano, przepędził dzień jeden i drugi na modlitwie w samotnej wieży. Gdy jednakowoż namysł ciągnął się zanadto długo, wówczas jeden z obecnych, Piast, począł się dobijać z siekierą do pustelni Abrahama, który wtenczas zawołał: „Polacy! oto widzicie waszego rodaka Piasta — jego obierzcie królem! Ma on rozum, bo wie że kraj długo bez króla istnieć nie może i mężnym jest Piast, bo dla ratowania ojczyzny sprzeciwił się memu rozkazowi. Jemu dajcie koronę, a dziękować będziecie Panu Bogu i Abrahamowi Prochownikowi.

I innych jeszcze było sporo wersji o koronie polskiej na skroniach żydowskich, ale te dwie a zwłaszcza legenda o Saulu Wahlu, stała się własnością wszystkich żydów, nie tylko polskich, ale w całej Europie.

Opowiadano ją w chwilach ucisku i prześladowań, pośród bolesnych podejrzeń o mord rytualny i w poczuciu krzywdy a społecznego poniżenia, opowiadał ją także na sali sejmowej Franciszek Smolka w zaraniu ery konstytucyjnej, gdy była w sejmie galicyjskim mowa o równouprawnieniu żydów. A tak stał się ten złoty sen o koronie i purpurowym płaszczu chlubą i dumą Izraela i jest nim dotąd.

Bo wszak w jednej ze synagog aż w Pradze czeskiej pokazuje szkolnik do dnia dzisiejszego ciekawym złoty, jedwabny, stary płaszcz, który miał być rzekomo koronacyjnym płaszczem Saula Wahla, wszak niejaki p. Wahl z Petersburga zbierał przed paru laty gorliwie dowody swego pochodzenia od Saula w tym celu, ażeby na ich podstawie uzyskać przynajmniej potwierdzenie staropolskiego szlachectwa — a w jednej ze szkół lwowskich mała dziewczynka nie chciała się poddać karze, jako nie przystojnej dla córki królewskiego pochodzenia bo i sama z tej rodziny miała pochodzić.

Stary antykwaryusz lwowski p. Berl Igel, jeden z najlepszych praktycznych znawców bibliografii polskiej, który w Dreźnie odbywał spacer z Józefem Ignacym Kraszewskim, w przyjaźni pozostawał ze starym Żupańskim, otóż tenże Igel, który zna na wylot i kocha każdy druk polski — oświadczył przed paru dniami w rozmowie, że aczkolwiek nie wierzy legendzie o Wahlu, o której się tyle nasłuchał i naczytał, to jednak.. „coś w tem musi być“.

Na trop zaś tego co właściwie „być musi“ wpadł zdaje się dopiero historyk Żydów lwowskich dr. Majer Balaban. Odszukał mianowicie akta z czasów Zygmunta III., w których powtarza się bardzo często nazwisko Saula Judycza, to jest Saula syna Judy (ben Juda) i to zawsze w takim związku, który wskazuje, że ten Saul Judycz wielką wśród Żydów litewskich i przed urzędem posiadał powagę, bo bardzo często, w różnych sprawach występował w imieniu całego żydowstwa (nomine omnium Judeorum). Niewątpliwie jestto

Saul Wahl, syn Samuela Judy z Padwy i do jego to powagi a znaczenia przy-
czepił się barwny kwiat legendy.

Wątpić tylko należy, czy dr. Balaban, mimo całej swojej swady, zdoła
do cna pogrążyć legendę i czy z poza jego naukowych argumentów nie wyrośnie
ona w nowej jakiej formie, jeszcze bardziej wyśnionej i od rzeczywistości oder-
wanej.

Ale skoro nawet do znaku zdmuchniętą zostanie wśród żydów ułuda
korony i berła, jeżeli w puch i pył rozleci się cała rzekoma a pracowicie ze-
brana genealogia jednodziennego króla, to jednak dobra to snać i dzielna dy-
nastja, kiedy z niej wyszedł, według własnego przynajmniej przekonania, Gabrjel
Riesser, jeden z wiceprezydentów parlamentu frankfurckiego w rewolucyjnym
roku 1848., i niedawno w Warszawie zmarły Henryk Wahl, członek rządu na-
rodowego w czasie powstania styczniowego 1863. r., wielki obywatel i patrijota,
któremu na pomniku grobowym te słowa wryto: „Dobremu synowi Ojczyzny —
Rodacy.“

Ludwik Eminowicz: Poezye.

W JĘKU DZWONÓW.

Wypełzłe plamy złoto słońca wpina
w rozłogi dywan przezczystej zieleni.
W przędziwie łąki droga się czerwieni
wytartym szlakiem.... Z wieży brzmi godzina.
Tarcza zegaru widnieje z pobliza,
jak czarne okno; cyfry, jak płomienie
bijące z wnętrza! dzwonów uderzenie
wstrząsa mi serce i smutki przybliża.
Dlaczego jęczy dzwon posepnie, czemu
wieczystych mijań przypomnienie woła
w śmiertelnym pocie spiżowego czoła,
co, przytakując, bluźni sercu memu! —
W oddali błyszczący ugor pod ziemniaki,
czy błękitowi podesłane skóry...

Jedwabie nieba kładą swe lazury
na rozszczepione śmigami wiatraki.

Tak, pomnę, Chrystus w drzewie wyrzeźbiony
dźwigał na głowie swój baldachim stary;
materya ciężka padła mu na bary,
na długie sprychy cierniowej korony.

Dziwne wspomnienie... Kawał skóry sarni
i po niebiosach rozrzucone chmury...
Leżą na kupie, jak białe figury
rzuczone w kącie kościelnej graciarni.

O, jak to smutno liczyć się w inwentarz,
w inwentarz świata liczyć się, jak trawa,
czuć się jak woda, jak ścieżyna rdzawa,
jak wieże w mieście a za miastem cmentarz...

O, jak to smutno! Czy mi się z pod powiek
wymkły te ptaki, te błyszczące pióra
małych jaskółek? — Tam ulata chmura
pionowa, świetna, jak potężny człowiek...

W powietrzu leci, płynie w bezkres dali,
majestat w ruchu, przepych w jej postawie;
wicher przygrywa niebieskiej przeprawie;
Co to!? Czy niebo drgnęło, czy się wali
Twór przewyniosły? — Chyli się wstecz, chyli,
powoli, cicho... — coraz więcej... — padła!
runęła cicho w modre prześcieradła...
Och wola chmury, wola jednej chwili,
wieczysty zawód!...

Kiedyż wstanie człowiek,
co ruszy ziemię i nad ziemię — ludzi;
złociste szlaki pośród gwiazd wyłudzi
dla żywych — Kiedyż!?

Rośnie żal wiek po wiek
i co stulecie smutniej grają dzwony
i coraz wścieklej człowiek dłonie plecie
na szczycie wieży, niby na bagnecie,
i czeka wojny tęsknot o miliony
gwiazd... — i napróżno!

— — Twarz świętego Jana

zeliłem śmiechem dawno nieskończenie...
marzyłem nowe, cudniejsze widzenie
już dawno, dawno...— dziś: struna zerwana...

Dziś już nie jestem rywalem proroka,
w apokalipsę milczeń patrzę smutnie..
Ziemi, przed laty byłaś mi za lutnię,
błękiecie, byłaś mi źrenicą oka,

Słuchajcie, wołam, jak owi przekłęci
na ostatecznym zgromadzeni sądzie:
pochłoń mię głębio, zaprzepaść mię lądzie,
góry zawalcie! — — —

Wiatr wiatrakiem kręci,
gdzie spojrzeć złoto drzemie przy werdyrze
ogromne cienie wiszą w światel przerwie,
jak miejsca w liściu stoczone przez czerwie,—
zbożem czy żużłą świecą płaskowycze...
— — — — — — — — — — —

Dlaczego jęczy dzwon posępnie... Czemu
wieczystych mijań przypomnienie woła
w śmiertelnym pocie spiżowego czoła,
co, przytakując, bluźni sercu memu...

NAD RZEKĄ.

Słysząc jęk nurtów: całun oliwkowy
łśni przytroczony do brzegów koryta.
Jaskółki w pędzie kładą nań swe głowy,
cień jadowity za piersi je chwytą.

Nadwodne wierzby wiodą rząd kaleki,
rząd stłalych trumien, każda próchnem świeci
Jaskółki w pędzie dotykają rzeki,
jak na zaduszkach igrające dzieci.

O, jakże cudnie trącają te ptaki
w zgnilizny wodnej upłaz posuwisty...
O, siwoliste popiołów bukłaki,
jakże wam drogie muszą być te świsty.

O, mówcie tale, rzewnie wam odpowie
cmentarna rzeka, co nad brzegiem woła —
O, mówcie do mnie: droższa wam nad zdrowie
jaskółczych skrzydeł piosenka wesoła ...

O, mówcie do mnie! W serdecznej podzięce
dotknięciem dłoni zagadam w gałęzie...
Lodowiec wieczny poznacie po ręce,
trująca cisza spłynie wam w uwięzie...

Lecz oto nagle zatrzepota w głuszy
srebrzysty świegot cudniejszy nad zdrowie;
twarzyczka mała lodowce rozkruszy,
maleńkie dziecko wypełni pustkowie...

Wiosenną ręką doszuka się twarzy
w gnijącej pleśni i nazwie ją: „tata“;
wygrzebie ojca z lawin i pogwarzy
o cudnem „pta-pta“, co w powietrzu lata...

Wieczorną porą powtórzy ryk bydła,
umkaniem żaby zajmie się skupiona,
w palce brać będzie mroków malowidła,
wilgotny błękit przyciśnie do łona...

Aż nagle stanie, oczęta roztworzy;
„O! O!“ zaćwierka w usteczkach jęk ptasi —
i dmuchać będzie na płomień zorzy,
jak na zapalkę. próbując, czy zgasi...

O, wierzby, wierzby, mówcie, czy widzicie
ten palec dziecka wodzący po łunie...
Jaskółkom szybkim podajcie w zachwycie
cud niemowlęcia spełniony w mej trunie...

O, SZUMIE WODY...

O, szumie wody, szumie wody,
w dalekich Tatrach podsłuchany!
W zapachu róż na piersi młodej,
w zapachu róż, co lśnią, jak rany,
zadrzałeś szumie górskiej wody,
zadrzałeś szumie ty źródłany..

O, szumie, szumie, świat się ślania,
w rozchwiejach serca krew się żali..
Przez pierś nabrzmiałą snem kochania
przewiodłeś widmo wiecznej dali
i blade krzyki przemijania:
„kochajcie, byście się rozstali!“
O, szumie wody, szumie wody,
w dalekich Tatrach podsłuchany...

Dr. Leon Biegeleisen: Wiara — jako czynnik społeczny.

I.

Rzucenie syntezy życia narodowego, ujęcie jego wytycznych i wskaźników, ocena haseł doby dzisiejszej i wczorajszej, przewidywanie przyszłości na podstawie tendencji chwili terażniejszej i przeszłej, po za urokiem pracy sędziowskiej i proroczej kryje w sobie poważne niebezpieczeństwa, których uniknąć tem trudniej, ile że chodzi tu o rzeczy i ludzi żywych, stosunki obchodzące nieledwie osobiście, że moment krytyczny i poznawczy mąką — sympatyje i antypatyje, uprzedzenia i nastroje, wpływy wreszcie otoczenia najbliższego.

Praca taka wymaga — olbrzymiego nakładu sił, gruntownych wiadomości z nauk i sfer życiowych sobie najodleglejszych, wymaga zarówno niepominania szczegółów, jak i ucieczki przed zbyt n a w a ł e m kazuistyki indukcyjnej, żąda od oceniającego — głębokiej miłości i oddania się rzeczom, które ujmuje, to znowu całego spokoju i rozwagi w procesie badań, w ostatecznych wskazaniach i wynikach.

Praca taka musi się oprzeć na poznaniu istotnem przeszłości, jej wartości trwałych, ale i źródeł mijania haseł przejściowych, musi w nawiązaniu ścisłym do tradycji i idei lat dawnych, przejść organicznie w terażniejszość i dać spoiwą od przypadku niezależną strukturę życia narodowego. W użyciu metody historycznej zanikać winno c h w i ł o w e, a nie silne, na plan pierwszy wystąpić z całą wyrazistością t y p o w o ś ć pewnych zjawisk społecznych. Praca taka łączyć winna rzetelną n a u k o w o ś ć, samodzielne objęcie i krytykę materiału, z wewnętrznem poczuciem ż y c i a, zrozumieniem jego najpierwotniejszych i

najmniej kulturalnych, to znowu współcześnie na najwyższym poziomie technicznym stojących wartości jednostkowych i społecznych. Nie może tam braknąć ani jednej idei, — o którą walczone lata i o którą walczyły tłumy, lecz także grupy i zgoła jednostki genialne, nie może tam zaniknąć ani jeden odruch rewolucyjnej myśli i woli ludzkiej, lecz także głos, może odosobniony, może niezrozumiany, o mijające „dawne lepsze czasy“, o ich królewski majestat tem piękniejszy, że w s p o m n i e n i e m historycznym żyjący.

Trzeba być na to, aby pisać syntezy narodowe, artystą i człowiekiem nauki zarazem, ścisłym badaczem i zbieraczem faktów a zarazem śmiałym dedukcjonistą, ujmującym jednostronnie choćby, ale nieomylnie, bezwzględnie logiczne prawa współzycia ogólnego.

Książki takie winny mieć w sobie siłę nieledwie dogmatów, wiarę w prawdziwość i konieczną potrzebę tego, co głoszą, ale i także pewność tę na logicznym ugrupowaniu zjawisk oprzeć, — na premisach, których musi być dość i takich, iżby wnioski i wskazania z nich wypływały jedne, nie przypadkowe, organicznie z całością rozumowania związane. Ale nadewszystko musi być istotną przyczyną głoszenia nowej syntezy, nowego wyznania wiary, musi się czuć po przez słowa, zdania, okresy zasadniczy punkt wyjścia, naczelną zasadę, w którąby można ująć całość.

Książki takie mogą stać się ewangelią narodowej działalności w czasach, kiedy praca od podstaw, ta organiczna, codzienna, żmudna robota zawodowa i społecznikowska, w zdobywaniu t. zw. wartości realnych, z atrakcją poczucie harmonijnej łączności celów, poczucie owej cudownie spójnej budowy społecznej, która kłam zadaje wszelkim oderwane snutym teoryom, najrozliczniesze wysiłki łączy w planową syntezę życia społecznego narodu.

Więc od ksiąg i wskazań takich żąda się — iżby były różne od zwykłych, pisane przez ludzi — którzy „dużo przeszli“, z nauki i życia, dobra i zła, piękna i brzydota, bólu i radości. Bowiem nic ludzkiego nie może im być obcem, jeśli mają mówić do wszystkich w narodzie, nie do rolników, przemysłowców, urzędników, profesorów, szlachty, włościan, kobiet etc., ale do Polaka, Niemca, Francuza, do współczesnego człowieka. Więc dalej ksiąg takich musi być nie wiele; wszak nawet ustawodawstwo narodu jest tem lepsze, tem bardziej znamienne, im mniej jest ustaw i przepisów, im ogólniej, najbardziej zewnętrzne obejmują one stosunki, wśród których tem większy zakres winien być życia niepodległego — ustawie i jej przymusowi prawnemu. I mało ksiąg takich jest także dla tego, że bardzo niewiele ma pełne prawo: głosić prawdy ludziom, że nie każdy może być prorokiem przyszłych i sędzią teraźniejszych wartości, że wreszcie naprawdę słuchać można tylko tego, kogo się kocha, a kochać trudno, jak tylko „wielkich wodzów kultury narodowej“

II.

Więc aby głosić prawdę ludziom, aby im wskazać „dokąd nam iść wypada“^{*)} trzeba jak mówi Wojciech Dzieruszycki w „Hasłach doby dzisiejszej**“^{*)}, mieć w sobie jakąś religię, trzeba wierzyć w nią gorąco i mocno. Bo religia, to właśnie wiara i „każdy radykalista choć woła precz z religią (tą w Boga), jest nowej, (swojej) religii fanatycznym zwolennikiem“. Po za religią wszelką, czy ona wierzy w oficjalny kościół, hierarchię duchowną, dogmaty ustalone przez rząd jakikolwiek, czy w hasła społeczne narodowego postępu, czy w ideologię pewnego nawet stronnictwa, leży nihilizm pojęciowy, a raczej życiowy i społeczny, leży szkodliwy moment zaprzeczny lub tylko obojętny, leży skeptycyzm — który wszelką religią, jako taką zwalczać musi i zwalcza. Człowiek mający religię pewną w duszy, uważa ją za najwyższe dobro życia, dobro dla którego poświęci wiele, i tylko tacy ludzie i takie religie z wyciążać mogą. Owszem, — powiedziec nawet możemy, że historia (nie dyplomacya) społeczeństw, przedstawia się jako szereg współrzędnych i nadrzędnych religii w walce ze sobą pozostałych, zwyciężających i zwyciężonych. Więc bez wyznania oś, owe hasło, które Dzieruszycki narzucił jako współczesne doby dzisiejszej, jest samo w sobie absurdem, który udaremni wszelki wysiłek twórczy. Wiara przedstawia się nie jako konieczność indywidualna, nie jako wynik światopoglądu filozoficznego, ale jako konieczność dziejowego postępu, jako wartość społeczna. Dzieruszycki jednak tego nie powie, podchwyci zręcznie ową dziwną nielogiczność „postępowca-radykała“, który zwalcza wszelką religię, sam wierząc także, choć w inną, ale natychmiast przejdzie do „zwalczania tych, którzy zwalczają“, do przeciwników religii kościelnej, do ateizmu partii radykalnych etc. Bezwyznaniowość pojmie, już nie jako grzech przeciw społecznemu prawu, przeciw potrzebie czynu, ale jako niepokojący stan wrzenia „u warstw ludowych“, „u tych rzesz mnogich pożądających bogactwa i rozkoszy“, jako ach!... anarchię. I potem znów powie rzeczy mądre, choć nie nowe, przeprowadzi ściśle rzekomo granice między nauką a religią, tak jak je ustalił akże Spencer, nauce odda świat doświadczeniowy — a religii, „obszar nieskończony wierzeń, w których chodzi o zagadnienia najwyższe, nadmysłowe, ostateczne cele świata i człowieka“. I oczywiście zaśmieje się trochę ironicznie, trochę złośliwie, a może z pewnym wyrozumieniem nad ultra-postępem naszych sfer inteligentnych, tzw. postępowych. Zaśmieje się nie tyle z religijnego fanatyzmu tych, którzy tak zacięcie walczą z religią wszelką, ile z samych założeń rozumowania takiego. Oto religia, już teraz nie ta ogólna wiara w ideę, nie religia socjalisty, narodowca,

*) Wojciech hr. Dzieruszycki „Dokąd nam iść wypada“. Nakładem księgarni Feliksa Węssy. Brody 1910.

**) tamże

wolnego myśliciela, ale religia w Boga, — największa z nich chrystyanizm, to olbrzymia uczelnia altruizmu i miłości, a zarazem hamulec doskonały przed wstąpieniem na drogę obrachowanego a występnego samolubstwa.

I tu problem filozoficzny, staje się problemem społecznym, jak wogóle erudycya Dzieduszyckiego nie zna granic między specjalizacją w naukach przyjętą. „Nauka przyrodnicza (a i społeczna*) ple cie o instynkcie altruistycznym“ każdemu wrodzonym, ale człowiek, jeśli nie będzie wierzył w religię, i jej kary niedoczesne, a w świecie ducha zgoła leżące, straci jedyną ostoję postępowania społeczno-altruistycznego, stanie się samolubem, zwalczającym wszystko, co nie służy jego egoistycznym namiętnościom i w ten sposób zanik religii równać się będzie zanikowi wszelkiej kultury etycznej, sprawi anarchiczną walkę wszystkich ze wszystkimi. Wszystko to jest słuszne; niewątpliwie ludzie głęboko wierzący, to materiał społeczny i polityczny — najlepszy, najbardziej skłonny do ustępstw, ofiar pewnych ze swego stanu posiadania. Ale pytamy się — dlaczego wyszedłszy z istotnie pojętej religii, jako wszelakiej wiary w dobro, postęp i ideę, z tej religii, w którą można wierzyć, choć się nie pełni praktyk religijnych, w którą wierzą nawet... rewolucyoniści wszelkich czasów i wszelkich najodleglejszych sobie haseł, przechodzi się nagle do wyznawców pewnych dogmatów, pewnych objawień, i dlaczego ogłasza się innych wierzących za... samolubów i anarchistów? Dlaczego „narodowiec“ wierzący w niepodległość narodu, a przytem niereligijny w znaczeniu słowa zwyczajnem, już nie jest z tych, których można zaliczyć do ludzi „tamtych“, ludzi o głębokiej miłości i „bojaźni Bożej“, kiedy się na kilku stronicach wstecz mówi, że istoty Boskiej nikt nie określił, że owszem nawet „radykał“ wierzy „w Boga — którym jest postęp“.

Więc z założeń Dzieduszyckiego, na które się piszemy w zupełności i z całym przekonaniem o potrzebie wiary, przez tok rozumowania dalszego iść nie możemy.

Jest to bowiem odwieczne nieporozumienie. Religia, jako hamulec przed złem, przed samolubstwem, jako czynnik kształtujący w olę, — w kierunku dobra ogólnego, w kierunku wartości, które inaczej mogą zaginać. Jest w tem wiele reminiscencyi z trywialnego ujęcia rzeczy, które religię zaleca warstwom ludowym i nieoświeconym, jako naturalną obronę przed poszeptem zła, namiętności, instynktów.

Jednakże, jeśli nawet rzeczywistość potwierdza aż nadto często prawdę u tyli tar ną takiego pojęcia wierzeń religijnych, jeśli wszyscy znamy przypadki, gdzie istotnie prosta, niewyszukana wiara w życie pozagrobowe i jej nagrody lub kary, powstrzymywała i powstrzymuje wielu od sfolgowania cugli w kierunku etycznie ujemnym, nie mamy natomiast żadnych d a n y c h — po te-

*) Dodatek nasz

mu, by odmówić innym wi a r o m, w znaczeniu choćby takim, o jakich mówi sam Działuszycki, więc i d e o m społecznym, narodowym, ogólnoludzkim, ich wartości etyczno-wychowawczych, by nie widzieć w nich i k a ż d e j serdecznej, nieobludnej wierze czynnika u s z l a c h e t n i a j ą c e g o myśli i nade wszystko w o l ę. Ale w i a r a, jako wynik całej organizacji psychicznej danej jednostki, jako jej owoc dojrzwały, stwarzający nowe stosunki i prawa, musi być i pozostać dziełem s a m e g o człowieka, musi trafić w jego myśli i serce, jego tęsknotę i miłość. I dlatego narzucać w i a r ę, można tylko tym, którzy żadnej innej nie mają. Religia objawiona jest dla milionów ludzi właśnie tą jedyną wiarą, streszczającą wszystkie dążenia, porywy, wszystkie najgłębsze i najosobistsze momenty ich istnień.

W coś trzeba jednakże w życiu wierzyć, głęboko i serdecznie, jeśli się nie ma przez nie przejść obojętnym, zimnym, bezopiecznym. Nikt rozumny i sam w i e r z ą c y nigdy nie zwalczał w religii momentu oddania się, tego momentu, który stwarza zupełne zespolenie się idei z wyznawcą jej, który ziszcza zlanie się dobra s p o ł e c z n e g o z dobrem jednostki, w jedną harmonijną, pełną całość.

Lecz właśnie dlatego nie powinniśmy innej miary przykładać do wierzeń, które ze stanowiska naszego zwalczamy lub których nie uznajemy. Jeśli tylko nie mamy do czynienia z szalbierstwem i złą w o l ą, uznać trzeba w każdej idei i wierze, choćby najbardziej śmiałej, byleby opartej na założeniach d o b r a i m i ł o ś c i s p o ł e c z n e j, więc e t y c z n y c h, prawdę, za którą j n n i walczyć mogą i którą u s z a n o w a ć musimy. W danym czasie i miejscu, są te wierzenia społeczne nie ogólnikami, nic nie mówiącymi, nie deklamacją o ideałach, a owszem w każdym społeczeństwie zdrowym i postępującym istnieją kryteria osądu uczciwe i nieuprzedzone o tem, co dobre a złe, co jest wpływem walki szczerzej i wierzącej, a co wykładnikiem nikczemności ludzkiej, obłudy i frazesu wreszcie.

Opinia najlepszych w narodzie, opinia nawet tzw. szerokich warstw, odróżni kierunki, może jednostronne, może nawet w postępowaniu bezwzględne, ale myślą zwartą i potrzebą celu przejętą, od grup i organizacji, które bez programu, bez zapatrywań określonych i umotywowanych, bez żadnej odczutej s p o ł e c z n e j p o t r z e b y, „mącą każdą narodową“. Słowem, mimo wielkiej w tym względzie d o w o l n o ś c i, odróżnimy „prawdziwych Rosyan“ (a gdzie ich nie ma -- w zmienionej choćby szacie) od partii i organizacji, choćby najwsteczniejszych, ale tych, które m o t y w u j ą swój pogląd, które wołając do nawrotu dawnych form społecznych lub broniąc dzisiejszego stanu posiadania, umieją się zdobyć na coś więcej, niż argumenty brutalnej, dzikiej pięści, umieją bronić i d e o l o g i i swojej, patryarchalnych tradycji dworów szlacheckich, ich piękna swoistości, dodatniego wpływu na lud.

Zresztą wyniki nauk społecznych nie uprawniają nas do pociągnięcia ścisłych granic między systematem religijnym a wierzeniem ideologicznym. Na pewnym stopniu rozwoju każdy kurs myślenia politycznego i społecznego jest religijnym, — każe bezwzględnie wierzyć w prawdy głoszone, nie czyni różnicy między dogmatem a własnym o nim sądem, własnym przekonaniem.

Światopogląd religijny jest na samym początku świadomości wytłumaczeniem naiwnem otaczającej go przyrody, świata ludzkiego i praw nimi rządzących, na wyższym szczeblu ludzkiej wiedzy, ustępuje zwolna miejsca naukowemu pogładowi, opartemu na wynikach nauk ścisłych. Nie możemy jednak nigdy powiedzieć oczywiście z pewnym prawem słuszności, iż nauka ścisła wykluczy pogląd religijny, jako pogląd filozoficzny. Zostanie zdaje się wiele zagadnień, które wytłumaczyć będzie można tylko... sui generis wiarą. A w zakresie społecznym, gdzie chodzi o wartości realne, pozytywne, o intensywność postępu, poglądy społeczne zawsze były i będą w przeważnej mierze religiami. Aby działać z rozkoszą, skutecznie, trzeba wierzyć. Dlatego organizacje wszelkie, także i socjalistyczne, ten moment religijny podnoszą do znaczenia pierwszorzędowego. Naukowy socjalizm zna dokładnie i krytycznie niewielu zagorzałych wyznawców teorii Marksa, rzęszę jednak wierzą w formuły podane błędnie często, ale zawsze apodyktycznie, bezwzględnie. Ale jeśli w ogólnym poglądzie na świat tendencja niewątpliwie idzie w kierunku zmniejszania się sfery wierzeń religijnych na korzyść poznania naukowego, w zakresie czynu społecznego moment wiary grać chyba będzie rolę przednią zawsze. W sferze tej, jako zewnętrznej realizacji woli i uczucia ludzkiego, pozostanie żywą maksyma Dżieduszyckiego: iż „lepiej jest mylić się twierdząc, niżli przemądrze o wszystkim wątpić“. Jest u nas, w stosunku do naszych sił narodowych, zbyt wielu nihilistów pojęciowych, zaprzeczających nieodpowiedzialnie wysiłkom i dążeniom kulturalno-społecznym. Otóż tym trzeba słowa wiary po prostu nakazać.

„Dziś bowiem trzeba nierównie więcej odważyć, aby się przyznać do wiary, jak do niewiary“. Ale wiarę tę pojęliśmy, chcieliśmy przynajmniej pojąć szerzej i ogólniej, broniliśmy się przed zacieśnianiem jej do pewnych nacięć i ułożeń znanych, zdecydowanych, pragnęliśmy wreszcie mieć ją za ideał powszechny i wskaźnik naczelnym w działaniu społecznym. Natomiast „rozstrzygnięcie“, które wyznanię wiary, który kierunek ideologiczny zwycięży i skupi w sobie najlepsze siły i mózgi, o tem w tem miejscu mówić nie możemy i nie chcemy, gdyż jedynie w walce ze sobą, w zmaganiu się wzajemnem, wierzenia ludzkie trwają lub upadają. Zresztą w tej mierze zajmujemy stanowisko (które niebawem bliżej wyjaśnimy), raczej obiektywne. Nie sądzimy, iżby jakikolwiek kierunek i pogląd społeczny „bankrutował“, iżby

dosłownie się przeżywał. Owszem nawet pozornie z wyciężającymi bierze w siebie wiele z dawnych, zwyciężonych.

Ale w tym różnimy się od W. Dzieduszyckiego: Nam chodzi o moment wiary, jako czynnik, w społecznym życiu stwarzający i przetwarzający wartości, jemu mimo głębokiej miłości ludzi, mimo dużej, encyklopedycznej wiedzy, o obronę pewnej wiary pewnego poglądu, religijnego i narodowego. Kwestya zaś w tym względzie jest i będzie otwartą.

Jerzy Kostecki: Sen mebli.

W salonie postawiono pęk bzu, bukiet wieżyczek strzelistych i kiści oblepionych szeszelnie gwiazdami barwy jasno-fioletowej, prześwieczonej jakoby purpurą zachodów i wspomnieniem jutrzeńskich różowych.

Postawiono w jaskrawym, tandetnym wazonie nie dla gości, nie dla ozdoby nudnej bawialni, lecz z powodu, że serce panny Domańskiej drżało wiosenną tęsknotą dziewic. Dzień przeto minął poetycznie i nadeszła noc pełna dziwów. Salon był pusty. Przez trzy okna wsunęły się trzy smugi srebra księżycowego, świecąc wskroś bajecznych deseni firanek. Rodzice i dzieci w dalszych pokojach spali już bogobojnie pod skrzydłami snu i anioła stróża.

* * *

Meble w salonie stały na zwykłych miejscach. Były już stare czcigodnie, obite utrechtem zielonym, gdzie-nie-gdzie wyłysiałym. Poręcze i oparcia, błyszczące niegdyś czarną politurą, pokryły się mnóstwem plam matowych, kresek, zadrapań, rys i hieroglifów gospodarskich. Lustra zmętniały, jak oczy po ulewie łez rzęsistych; złocenia białego tła tapet przygasły na wieki w smutku. W rogu pokoju dyszał cichutko stary, zmordowany fortepian, przywalony stosem nut strzępiastych i solidną mieszczańską lampą; był podobny do jednego z tych biednych grajków, którzy w czarnych wyświeconych ubraniach grają po restauracjach, a gdy skończą — siedzą nieruchomi, zasłuchani w jakąś daleką niewygraną nigdy melodyę. Wogóle wszystkie meble zachowywały się bardzo obyczajnie, z nieruchawą godnością.

* * *

Z bukietu bzu snuły się w cichym powietrzu nicwidzialne pasma cudnej wiosennej woni: opowieść o wiośnie, o zieleni łąk, o sadach osypanych kwieciami... Jakiś czar pachnący otulał meble, goił ich rany, pieścił i odmładzał.

Daleki zegar wieżowy brzęknął dwa razy. Nagle fortepian, najbardziej sentymentalny, uchylił wieka, a klawisze drgnęły lekkim, stłumionym akordem. Taburet, muzykalny uczeń i powiernik fortepianu, zakwitł w półmroku przedziwnym kwiatem na swej grubej, fantastycznej łodydze.

Siedziała na nim młoda kobieta w koszuli. Ręce jej nagie, wyciągnięte, zdawały się pić z szmerzącego źródelka melodyi. Warkocz, jako wąż czarny, zsunął się po szyi, bielszej i świetniejszej niż alabaster i opadł między piersi, bliźniaczo wypukłe.

I była kobieta w świetle księżycy, niby widmo tęsknoty nocnej, a z pod jej palców tony sypały się szmerem litanii błagalnej...

Słuchały krzesła w rozmarzeniu, podobne do gniazd przytulnych.

Kanapa rozciągnęła się sennie, jak kobieta, która oczekuje kochanka.

Stół nawet i stoliki stawały się lżejsze i bardziej powiewne, jakby uskrzydłone muzyką.

I chciały meble wędrować w świat za tęsknotą... za promieniami księżycy — Lecz ściany były zbyt stare i ciężkie, aby się mogły ustąpić — a przecie i one podawały sobie świątynnym szeptem melodyę...

Raptem drzwi, pchnięte szeroko, rozwarły się z trzaskiem i wpadły na salę...

Wyrzała głęboka jaskinia ciemności, w której plątało się jakieś dziwaczne widmo. W chwilę potem u progu padł staroświecki cylinder i stuknąwszy głucho, potoczył się pod stół w salonie.

Potwornie długi, wystraszony cień przeleciał przez pokój, załamał się i uderzył miękką głową o jasną ścianę; tuż za nim, jakby ścigając go niedołącznie, podrygiwała czarna postać na dwu wysokich nogach.

Lustro ciekawe i pełne kobiecości chwyciło ją w złoczone ramy nagłem namiętym objęciem. Lecz postać uskoczyła w bok, jak kogut spłoszony, gdy skrzydła mu związały i wpadła na krzesło, które z łoskotem i brzękiem runęło na posadzkę.

Kobieta zerwała się z taburetu i wyciągnąwszy białe ramiona, podbiegła ku gościowi, krzycząc coś niezrozumiałego.

Meble zeszywniały w trwodze i w oczekiwaniu. Symetryczne tatle posadzki, przyzwyczajone do linii mniej więcej prostych i równomiernego tempa, zlekły się szaleństwa nóg, które czyniły niesforne zygzaki zupełnie bez taktu. Sen stawał się zmorą nużącą, hałaśliwą hecą. Dwie wrzeszczące maskary plątały się bezładnie w sposób nieodpowiedni i niepraktykowany w salonie, gdzie wszystkie meble stoją w szlachetnych pozach, w porządku, uświęconym tradycyjną banalnością.

Krzesła padały jedno za drugim, z tragicznym, suchym stukotem...

Jakaś czarna mgła zaczęła rozsnuwać się w pokoju. Zarysy sprzętów miękły i ciemność je pochłaniała. Zdawało się, że powiał delikatny wietrzyk i zdmuchuje niewyraźne sylwetki mebli... I nagle cały obraz zapadł się cicho w aksamitne otchłanie nocy.

Jeszcze raz zamigotał jakiś gasnący błędny ognek i...

Na starym fortepianie stała solidna mieszczańska lampa i świeciła jasnym dobrotliwym światłem.

Rozpaczliwa udręka i strachy nocne zniknęły gdzieś bezpowrotnie.

Na sali wszczął się radosny ^{*} ^{*} rumor i tupanie lekkich, swawolnych trzewiczków: biegało kilka dziewczynek kolorowych, kilku małych chłopców i jeden duży chłopiec.

Meble zaczęły ożywać i wchłaniać w siebie dziecinną pustotę i humor beztroski.

— Mamo! mamó! niech mama zagra walca! prosiła przeciągle 11 letnia złotowłosa dziewczynka — Niech pani zagra walca!... rozsypanym chórem wtórowały jej koleżanki.

Wówczas przy fortepianie usiadła pani Domańska. Taburet podparł ją uprzejmie kręgiem siedzenia, wyczuł bowiem w ruchach jej i dotknięciu godność swej właścicielki.

Z klawiszów sfrunął walc niewymuszony i łagodny. Dzieci zaczęły usuwać szybko stół i krzesła ze środka pokoju pod ściany. Córeczka gospodyni z takim impetem wzięła się do przygotowań tanecznych, iż upadła razem z krzesłem. Meblom przemknęło dawne, dawne wspomnienie tragicznych upadków i chwiejnych nóg pana w staroświeckim cylindrze. Lecz teraz była to tylko łobuzerska fantaronada.

— Phy! jakaś ty zgrabna! powiedziała tonem księżniczki cudna 12letnia dziewczeczka i przewróciła odrazu dwa krzesła.

— Prędzej! prędzej! — naglił duży chłopiec, pchnął z animuszem młodzieńczym czwarte krzesło, aż potoczyło się pod ściany i po krótkim wahaniu zadarło do góry wszystkie cztery sztywne nogi, podkute kółkami mosiężnymi — aby zrobić dzieciom przyjemność hałasem i komicznym widokiem.

Pani Domańska zerwała się na równe nogi.

— Dzieci! Co wy robicie! Wszystkie meble się połamią! Meble ucichły, zawstydzone ogromnie, iż dały się uwieść swawoli dziecięcej, tem bardziej, iż duży chłopiec skompromitował je w oczach gospodyni, wołając:

— Proszę pani, kiedy to krzesła przewracają się same!

— Już! już nie będziemy! — zatrajkotały dziewczynki, odczuły bowiem przykrość, wyrządzoną pocziwym meblom.

— A więc nie hałasujcie tak okropnie — rzekła p. Domańska i usiadła przy fortepianie. Walczyk znów rozwiął swoje wstążki różowe i kręcił się po salonie. Ściany obracały się za nim, jakby z niedowierzaniem trochę, że i one potrafią kołować, a kwadratowe tafle posadzki wirowały szybko i w nadmiarze wesołego pustactwa pragnęły koniecznie czynić się okrągłemi.

Duży chłopiec, Antoś, tańczył z cudną Janką. Pomiedzy ustami ich fruwał szkarłatny motyl pocałunków powietrznych, po ciałach ich pełznął dreszcz niby wąż, który owija biodra i kusi...

Piękna przedziwnie i pełna uroku była Janka. Kształty jej dziecięce miały w sobie jędrność rozkoszną, i zmysłowy czar dojrzałej dziewczyny, na pierśiach biała sukienka wzdęła się już lekko pod naporem skarbów kobiecych, a w oczach skośnych, cokolwiek ciemnych, a słonecznych, gorzały obietnice brunetki: tęgie, złotawo-śniade, pałające odblaskiem różowym...

Walc migał po sali różnobarwnym łańcuchem parok, splecionych wdzięcznie, chwytal i rozwłóczył w powietrzu zapach bzów kwitnących.

Wreszeie dzieciom poczęły plątać się nóżki ze zmęczenia. Usiadły przeto pod ścianami, zgrzane, w ponsach i w potach, aby flirtować. W pokoju panował nastrój amoroowych napięć i naprężeń.

Krzeselka przechylały się z kokieteryą ku sobie. Kanapa krzywiła nogi nieznacznie, a przecie miłośnie. Lecz bezwstydnie trzeszczała niecierpliwa kozetka na której usiadła Janka z dużym chłopcem. Utworzyły się pod nimi dwa wgłębienia gorące i pragnęły być jednym namiętmem wgnieceniem. Nóżki kozetki; fantazyjne i cienkie gięły się nieprzyzwoicie. Przyczyną tego była ich konstrukcyja — a również mocna żądza, jaką pałała niecierpliwa kozetka.

Chodźmy już na herbatę — powiedziała pani Domańska i szła ku drzwiom...

Przez trzy okna wlewały się trzy postrzępione fale światła księżycowego, Pokój był pełen woni bzów wiosennych. Meble cicho śniły sen o ludziach...

Nagle drzwi skrzyknęły żałośnie i do sali wszedł pan Domański ze świecą płonąącą, w aureoli złotawego blasku. Zbudzone cienie chwiać się poczęły i pełzały za nim ciekawie. A siwy pan zaglądał pod krzesłą, pod kanapę, za portyery...

Na progu stała pani Domańska, bosa, w zmiętym kaftanie nocnym.

— Ależ zdawało ci się chyba. Niema nikogo!

— Ależ nie, słyssałem, że coś trzeszczało, może kot się zakradł, powiedział mąż i patrzył w zadumie na okna, osrebrzone miesiącem, poczem podszedł zwolna ku żonie i mówił wzruszony:

— Pamiętasz, Lorsiu, tego dnia, gdym kupił meble, księżyc tak samo świecił i bez pachniał... a ty...

— Masz też co wspominać! pijany byłeś wtedy jak nieboskie stworzenie. No, chodź, bo się jeszcze przeziębisz!

Pociągnęła męża za rękaw koszuli nocnej. Daleki zegar wieżowy brzęknął trzy razy. —

Przegląd społeczny: Propaganda ideowa i jej formy.

Prawie ze zdziwieniem czytaliśmy w pismach warszawskich o zebraniach dyskusyjnych, urządzanych przez jedną z partii politycznych (P. Z. P.) nad jedną z tzw. kwestyj społecznych (żydowską). Odwykliśmy, co dziwna także w zaborze austriackim, gdzie nam chyba wolno mówić do woli, od poruszania spraw ważniejszych publicznie, od prowadzenia przez partye i organizacje społeczne niejako „szkoły i d e o w e j“ (co innego niż agitatorów), więc planowej akcji wychowawczej, któraby miała na celu uświadomienie i orientację w kwestiach ogólnych nie tylko członków, tzw. „sympatyków“, ale także i sfer na zewnątrz stojących, całego wreszcie społeczeństwa. Nie uważamy, jak wielu u nas zbyt pochopnie, „dyskusyj“ na temat społeczno-ideowy za bezprzedmiotowe, akademickiej jedynie wartości, przepędzanie czasu. Możemy najwyżej pewne formy i metody dyskusowania, szermierkę na słowa, dowcipy, osobiste wycieczki uznać za zbyteczne — jeśli już nie szkodliwe zgoła; sam jednakże fakt zejścia się ludzi w pewnym określonym celu, ludzi, którzy nie chcą bynajmniej, jak osławiony Serenissimus, r o z w i ą z y w a ć w przeciagu nocy kwestyi socyalnej, a owszem poddać jedynie pewnej sumienniejszej rewizyi wzajemne poglądy i wierzenia, sprowadzić je mimo różnice znaczne do mianownika wspólnego, za objaw bardzo znamieny i dodatni w życiu społecznem narodu.

Rozumiemy najzupełniej uprzedzenia, jakie się mimowoli nasuwają na widok rozgorączkowanych, niemiłosiernie w sali posiedzeń cisnących się powołanych i nie powołanych polityków, rozwiązujących z miną austriackiego premiera, problemy narodowe i społeczne. Rozumiemy czarną rozpacz, jaka ogarnia, gdy mówca z Bożej łaski upajać się pocznie własnem słowem i własną pozą, i gdy tak mówi godzinę, później dwie — trzy, aż do zupełnego zapamiętania. Rozumiemy refleksye, jakie się budzić muszą, gdy zawile kwestye, wymagające s w o b o d n e j rozważnej myśli, ludzie ujmują jednym frazesem, jedną formułką, mniejsza o to, jakiej wartości wewnętrznej, byleby pograżającej p r z e c i w n i k a w argumentacyi schalastycznej, to znowu zręcznej, wyslizgującej się, gibkiej.

Pojmujemy wreszcie uczucia „pokonanych“ w takich dyskusjach... uczucia ulegających dzięki najczęściej brakom kwalifikacyj na mowcę zawodowego, dzięki nie tyle argumentacyi rzeczowej, ile wyzyskaniu sytuacji — przez prze-

ciwnika, świadomego słabych stron swego „przedmówcy“. Ale wszystko to wiele innego nie może przesądzać o prawdziwej wartości wysiłków, jakie tkwią w przymusowym choćby zdaniu sobie sprawy z wielu kwestyj i zagadnień życia zbiorowego, — jakich wymaga dyskusja toczona rzeczowo i taktownie, dyskusja w której trzeba zebrać i umotywować wszelkie pro i wszelkie contra, aby wyjść zwycięsko lub z honorem człowieka znającego i wierzącego w swój pogląd.

Diskusja zresztą, jako taka jest jednym z wielu środków i metod, których kierownictwo świadome i odpowiedzialne winno używać dla propagandy swoich haseł i zasad, dla wzięcia się i przejścia ich w wierzenia i poglądy krytyczne ludzi, tworzących daną grupę, czy organizację. Jednym jednakże z lepszych i skuteczniejszych. Ani odczyty, ani broszury i pisma, nie mają tej bezpośredniej siły, jaka tkwi w zetknięciu się i wzmaganiu dwu myśli przeciwnych. Czyta się i słucha często odtwórczo, biernie, formę odczytów zwłaszcza i wykładów uważamy za przeżyta już i słuchacza, jako materiał myślowy, demoralizującą. Na odczyty przychodzą ludzie, którzy najczęściej nie podążają nawet za słowem, tem bardziej za myślą prelegenta, którzy w najlepszym razie wchłaniają w siebie beznadziejnie i bez żadnego ze swej strony wysiłku, podane z góry i gotowe już formuły i problemy... wygłaszającego. Niema po prostu sprężyn, któreby kontrolowały wydajność myślową i krytyczną u słuchaczy. Są tylko błyskawiczne sytuacje, sekundy, w których subtelniejszy wyuczony mogą u słuchacza znudzenie lub owszem przejęcie się, u prelegenta zmęczenie lub owszem podrażnioną ekspresję. Ale po za tym łącznikiem „tajemniczym“ najzupełniej zewnętrznym, — bo od gestu i przypadkowego wzniesienia lub zniesienia głosu najczęściej zależnym, powstaje zasadnicze nieporozumienie między jedną, — a drugą stroną. „On“ prelegent, daje ze swej strony pewne przemyślenia problemów, pewne ich nawet skromne mniej lub więcej rozwizania, a publiczność łaskawie lub czasem nawet niełaskawie przyjmuje je do wiadomości.

Dlatego coraz częściej odczyty interesują... jedynie wygłaszających i to tem bardziej, im więcej są one reklamowane. Trzeba pójść od czasu do czasu na takie sensacje afiszowe, trzeba wchłonąć w siebie ów specyficzny nastrój odczytu, bardzo zbliżony do nieodwołalnie ostatniego występu słynnego tenora, trzeba widzieć rozpaczliwe wysiłki prelegenta wkładającego „całą duszę“ w słowa, które na chwilę nie mijają zresztą bez efektu, ale później toną w morzu zapomnienia, aż do... następnej sensacji następnego wieczoru. Ale po za dorywczym, na cele dochodowe urządzonym odczytem najpoważniejsze z wykładów bo uniwersyteckie, poczynają się coraz bardziej starzeć, coraz więcej przymuszać obowiązkiem, lub względami egzaminowej natury.

Punkt ciężkości przechodzi na wszechnicach powoli, ale statecznie z wykładów na seminaria, konwersatorya etc. W nich to młodzież bierze udział bezpośrednio, taki sam jak prowadzący seminaria, więc broni swego zdania, zwalcza przeciwnie, argumentuje, słowem tworzy i komplikuje dyskusję. Trzeba w niej nie tylko rzecz znać i objąć, ale jeszcze wyrazić i podać ją tak, iżby nie było punktu wątpliwego, po nad wątpliwość z istoty wynikającą, iżby nie można gmachu całego zburzyć dla braków, w podrzędnym rzekomo szczególe. Stąd może być dyskusja uczelnia logicznego myślenia,

przeważnie syntetycznego, które ujmuje luźne zjawiska i fakty w całość ogólną, w formułę streszczającą rozbieżne i zbieżne poglądy i zdania.

W życiu społecznym jest jeszcze o tyle ważną, iż najskrajniejsze wierzenia i myśli, uczy w jednej najogólniejszej rezolucji „łączyć w jedną zgodną i harmonijną wolę wszystkich“, że uczy po przez różnice, przechodzić do wspólności zbiorowej, do tej wspólności, którą im bardziej gorąco i trudno wywalczyć trzeba było, tem większą przedstawia rękojmię uwzględnienia wszelkich mniejszości i przeciwieństw.

Jest dalej dyskusya jeszcze dlatego w życiu społecznym ważną, iż chodzi często (nie jedynie) o kwestye, które tylko w wzajemnem zetknięciu się, wzajemnem poznaniu, w wzajemnych kompromisach i targach na arenie realnych wartości nie zaś konstrukcyi apriorystycznych, mogą być „rozwiązane“, lub doprowadzone do porozumienia. U nas zaś jeszcze, gdzie mimo niewątpliwego „nerwu publicznego“, mimo ścierania się temperamentów, mimo nawet sporego zastępu ludzi, interesujących się zjawiskami społecznymi, poziom życia zbiorowego nie jest tak wysoki, jakby się tego po politycznych warunkach Polski spodziewać było można, gdzie nauki społeczne i prawne są uboższe znacznie od innych, gdzie każda akcyja społeczna prócz zwyczajnych trudności zwalczać musi uprzedzenia naszych swojskich „indywidualistów“, bzdurzących „o sławie“ lub o literackich wartościach, — dyskusya publiczna jako stała instytucya naszych organizacji, grup, stowarzyszeń miałaby znaczenie większe i znamiennejsze, niż gdzieindziej, w warunkach w tej mierze lepszych.

Łączyłaby się bowiem z ogólnym planem wychowawczym, który nasze organizacye zaniedbują wobec nawału prac codziennych. Już tu bowiem musimy stwierdzić fakt, który pochwyć da się we wszystkich prawie bez wyjątku u nas działających grupach i partiach społecznych i politycznych. Nie mają one czasu, ochoty, wreszcie sił kwalifikowanych na powzięcie i zrealizowanie planu ideowej propagandy i nauki przedewszystkiem wśród wyznawców swoich, ale także i wśród przeciwstawiających się przeciwników, którzy najczęściej walczą z „wiatrakami“. Mści się to w pierwszym rzędzie na samej organizacji, na wynikach przez nie osiągniętych. Liczyć można tylko na człowieka świadomego celu i haseł, o które walczy, na człowieka obzajomionego nie tylko zewnątrz ale i poznawczo z programem i postulatami narodu i klasy, do której zawodem, stopniem zamożności, inteligencyi wreszcie należy. Mamy zbyt wielu „wyznawców idei“ a tak mało ludzi, na których liczyć naprawdę można, którzy chwilowych niepowodzeń nie wezmą za upadek, przejściowych zdobyczy za rozkwit haseł, którzy wreszcie poznawszy wartości społeczne — umieją kochać i walczyć o nie nie dla walki, ale dla nich samych.

l. b.

Z muzyki.

PRZYBYSZEWSKI O SZOPENIE.¹⁾

Kiedy nowa sztuka przed laty kilkunastu, w okresie kształtowania się, szukała życiodajnych słońc, aby z ich promieni czerpać niespożyte moce, wtedy

1) Z powodu odczytu, wygłoszonego na obchodzie Szopenowskim we Lwowie p. t. „Szopen a naród.“

to prorok najczystszych jej objawień, Stanisław Przybyszewski wskazał szukającym na Fryderyka Szopena. Kilka, wydanych od tego czasu, głębokich studyów, szereg znakomitych paratraz — to plon czci i uwielbienia, jakie żywi wielki poeta dla geniusza muzyka. Najłżejsze tony zawarte w ogromnym dziele twórczości Szopena przestały być dla Przybyszewskiego zagadką; przed jego oczyma kreślą się wyraźnie głoski zrozumienia spraw dla wielu jeszcze ciemnych i dlatego Przybyszewski Szopena nie tłumaczy, lecz go objawia. Otwierając tajemniczem zaklęciem słowa oczy ślepców, Przybyszewski ukazuje Szopena nie ze stanowiska oderwanej sztuki, ale rzuca nań snopy światła, sięgając do najgłębszych źródeł twórczości. Poznanie i zbadanie tych źródeł daje mu niezachwiającą pewność, że Szopen był polskim, narodowym artystą. Dusza narodu, jak zawsze tak i w pogrobowej epoce romantyzmu, wcieliła się w kilka genialnych jednostek, bogacąc wybrańców swoich najszlachetniejszymi klejnotami swego skarba. Czerwieniły się w nim rubinowe strugi krwi, drżały jeszcze żywe perły łez, strąconych na zielone szmaragdy nadziei. Krew, łzy i nadzieję nosił w koronie każdy pomazaniec duszy narodu. Ukazuje więc Przybyszewski zbląkanej dzisiaj duszy polskiej — mękę, tęsknotę i wiarę jako pewne stygmaty polskości Szopena. I czemże wobec tego — pyta — nadgrobnny napis: „z ojca Francuza, z matki Polki,“ czemże nieświadomość „całej Europy“ — powiada, podkreślając dwa ostatnie słowa czterema f ironii. Wielki artysta, wzbogacając sztukę własnego narodu, wzbogaca równocześnie sztukę całego świata. Lecz pamiętajmy, że sztuka rozpada się na dwie części: na pierwszą, bezwzględną, istniejącą jako twór artysty i na drugą, względną, stającą się jako dotworzenie w duszy słuchacza, czytelnika lub widza. Dzieło sztuki nigdy nie jest skończone. Wizye rozsadzające czaszkę, zakuwane w szaleństwo i męce w czarne kręgi skaczących nut, to tylko drogowskazy do zapartych wrót tajemnic, które otworzyć może jedynie siła i wola człowieka. Dla dzieł swoich stworzył Szopen nowy instrument: swój fortepian. Ale i ten nie mówi, bo też nie może powiedzieć wszystkiego aż po kres. Przybyszewski gra Szopena. Widziałem. Palce w nerwowem zapamiętaniu biegają po białych kościach i zda się już, już rozsadzają zamkniętą ramę klawiszów. Niepohamowana żądza wygrania z duszy wszystkiego, — jęczy okrutną skargą w przeraźliwych fortissimach i krzyczy we wścieklej bezsile wobec ograniczoności instrumentu: zmiążdżę!... To, co da się jeszcze zamknąć w zmysłowym kształcie, dochodzi do szczytu i nagle — pieśń rwie się... Pozostaje po przetopieniu się męki twórczej w objawienie — twór najczystsza istota, dusza Sztuki — Niedopowiedziane. To niedopowiedziane w tworze Szopena przedewszystkiem możemy dotwarzać w głębi dusz my Polacy. I to nie obniża wartości artysty wobec wszech-sztuki, to podnosi tylko jego wartość dla nas. Tak więc konieczność uczyniła Szopena w objawieniu twórczem — Polakiem. Słyszał melodyę chłopskich zawodzeń

przejął w serce tęsknicę ziemi polskiej, odczuł narodu śmiertelny ból. Ten smutek, tęsknica i męczeństwo stały się wieczystymi składnikami jego duszy, a ta porodziła się z duszy narodu. Przeto w muzyce duszy Szopena jest muzyka duszy polskiej i dlatego On wszystkim jest nasz, wyłącznie i na wieki. Jęk tryumfalny, bohaterski i zwycięski, wydarty w okrutnym zmaganiu się ze symbolu uduchowienia — narodu polskiego z brutalnością wszystkich — to muzyka, nie! nie muzyka, to żywe, ociekające krwią, wydarte z piersi własnej serce Szopena... Dzieło przepotężnej Ofiary... Oh! orły! orły! pijcie krew moich żył! paście się płątami mojego serca!... Oh! ale inna jest męka rzucić serce na pastwę orłom, a inna wróblom, aby grzebały w niem stęzionymi już w błocie i kale dziobami... Duszo polska! Lat tak nie wiele, a ty... „Kołtun skręcił duszę polską!“... Słuchajcie — do was to mówią Szopeny i Mickiewicze... Niech się w was zbudzi żądza ogromnego czynu, a choćby ogromnej zbrodni... Twórcie na nowo samych siebie — nowych... Bo już, już, a nie zrozumiecie Go...

* * *

Nie sprawozdanie z odczytu, myśli które obudził — daję...

JAN FRYLING

RUCH MUZYCZNY.

Wobec braku muzyki symfonicznej, każdy koncert przyjezdnej orkiestry jest wydarzeniem poważnym w muzycznym życiu Lwowa. Niewyzyskanie takiego momentu artystycznego, t. j. nieumiejętne ułożenie programu jest wielką stratą dla spragnionego muzyki ogółu. W takich razach należałoby poddać sumiennej krytyce nie wrażenia pokoncertowe, ale wpływając jeszcze przed koncertem na odpowiednie ułożenie planu produkcji, planu, uwzględniającego poza muzyką klasyczną *przedewszystkiem muzykę polską*. Słowa te nie odnoszą się bynajmniej tylko do koncertu wiedeńskiej orkiestry, ale do całego szeregu występów artystów zagranicznych, lekceważących muzykę polską bez słowa nagany, lub przypomnienia ze strony ogółu. Odpowiedzialność za umiejętne ułożenie programu winni ponosić nie przedsiębiorcy koncertowi, ale ci, którzy pośredniczą pomiędzy publicznością, a artystami. Że cel w takich razach częstokroć pada ofiarą prywatnych sympaty lub antypaty, jest to rzeczą zwykłą, ale dziś uświadomienie, ogarniające coraz szersze warstwy, wytwarza sąd krytyczny, a wynikający z żywiołowej potrzeby uporządkowania nienormalnych naszych muzycznych warunków.

Program ostatniego naszego koncertu orkiestrowego ulegał kilkakrotnym zmianom; zamiast Berlioza miano grać Beethovena (V symfonię, dość często we Lwowie grywaną), podobno i Czajkowski był w planie — skończyło się na tem, że na 8 numerów koncertowych (w tej liczbie dwie nieciekawe kompozycje rosyjskie) zagrano tylko dwie części utworu Karłowicza.

Otóż, jak zwykle w zapale dysputy walczone i w imię Beethovena i Brucknera, nawet Czajkowskiego, zapomniano tylko o utworach polskich. Podobno dyr. Nedbal nie miał czasu na wystudowanie utworu Karłowicza! Ten brak czasu — oto doskonałe świadectwo naszych warunków. Przez cały szereg lat nie nauczono przyjezdnych artystów liczyć się z upodobaniem naszej publiczności. Wiedeńska orkiestra pod dyr. Oskara Nedbala, czyżby jeszcze dotychczas nie miała w repertuarze utworu polskiego? Jak dotychczas sztuka polska jest jakgdyby zaklętą w milczące portrety muzyków, zdobiących Filharmonię, tragicznych w swej bezsilności.

Wracając do programu wiedeńskiej orkiestry, musimy zaznaczyć, że zespół który podobno powstał przed trzema laty pod kierownictwem Nedbala, rozwija się znakomicie — szczególnie godne uwagi są zmiany w pierwszych skrzypcach i wiolonczelach.

Najlepiej wypadły symfonie Brucknera i Berlioza tego potężnego pioniera instrumentalnej muzyki, na którym wyrósł Wagner, Liszt — cała muzyka współczesna. Kompozycja ta w gigantycznej niemal formie, pełna fantastyczności i szorstkich częstokroć akcentów, najlepiej przypadła do gustu indywidualności Nedbala. Rosyjsko-polskie przymierze (Chopiniana, Glazunowa) i utwór francuskiego kompozytora Rabeta przeszły bez wrażenia — jakoteż i zupełnie niepotrzebna „Wielkanoc“ Korsakowa.

W koncercie przyjmowała udział młodziutka pianistka Ilona Kurz. Muzykalność, sprawność techniczna i intuicja artystyczna świadczą o niepospolitym talencie tego dziecka.

W obchodzie Chopinowskim, urządzonym w Filharmonii staraniem „Życia“, wystąpił znakomity pianista Jerzy Lalewicz. Wykonanie wszystkich etiud Chopina przedstawia nie lada trudności, a mylnem jest pojęcie, jakoby tylko mieszanina nocturnów z mazurkami, a polonezów z walcami była odpowiednim programem dla tego rodzaju uroczystości. Lalewicz dając program, złożony ze wszystkich Ballad, Etiud, Impromptus, chciał dać całokształt twórczości genialnego kompozytora. Zagra nicą tego rodzaju produkcje nie wzbudzają ani zmęczenia, ani podziwu. Lalewicz, europejski pianista, zapragnął dać naszej publiczności nie kilka mniej lub więcej przyjemnych wrażeń, ale całokształt kilku rodzajów twórczości Chopina. Wykonanie ich było mistrzowskie! Odśpiewanie pieśni przez znaną zaszczytnie śpiewaczkę panią Korwin-Szymanowską, jakoteż artystyczny akompaniament młodziutkiej, pełnej wdzięku i bardzo utalentowanej pianistki panny Rosenbuszówny, wypełniły program Chopinowskiego obchodu.

* * *

Wobec braku tachowych pism muzycznych polskich, wychodzący od dłuższego czasu w Warszawie „Przegląd muzyczny“ pod redakcją p. Chojnackiego, zasługuje na szczególną uwagę. Pismo to koncentruje w sobie najwybitniejszych przedstawicieli ruchu muzycznego, jakoto: dr. A. Chybińskiego, dr. Zdz. Jachimieckiego, H. Opieńskiego i wielu innych, dział korespondencyjny większych miast jest prowadzony przez specjalistów muzyków, oprócz tego pismo informuje dokładnie o wszelkich nowościach wychodzących zagranicą — oczywiście uwzględniając przedewszystkiem twórczość polską. Przewodnią ideą „Przeglądu„ jest popieranie współczesnej muzyki polskiej oraz wprowadzenie elementu naukowego w krytyce muzycznej w Polsce. Numer ostatni zawiera: Z współczesnej muzyki niemieckiej — skreślił F. I. Stosunek Chopina do sławnych muzyków i poetów. Kompozycje fortepianowe Friedmana — przez dra Ad. Ch. Ze studjów nad polską muzyką wokalną wielogłosową w XVI. stuleciu — przez dra Chybińskiego. Dwunastoletni kompozytor. Echa z prowincyi. Z sali Filharmonii. Z innych sal koncertowych. Kronika. Z żałobnej karty. Program nadzwyczajnego koncertu Warsz.Ork. Symfonicznej.

l. r.

Przegląd sztuk plastycznych.

I-re EXPOSITION DU CERCLE des FEMMES ARTISTES á BRUXELLES.

Sto lat dobiega od czasu pierwszej publicznej wystawy obrazów, którą urządzono w Brukseli w nowo powstałym i naówczas wielką nowością będącym „Salon de concours„. Ówczesni wystawcy podlegali warunkom, na jakie dziś nie zgodziłby się chyba żaden z najmniej samodzielnych artystów. Mianowicie „Salon de concours“ określał z góry treść obrazów i zadawał temat jeden, czasem dwa, czasem trzy. Tylko obrazy traktujące postawiony za zadanie temat mogły być należeć do wystawy. Bo jakże inaczej miałyby się oryentować publiczność? Jakże miałyby znaleźć różnice między artystami, jeśliby nie miała probierczego tematu, jeśliby, — w razie dowolności tematów, — nie wiedziała „o czym malują.“ Zaś artystom, nawet owym artystom podbitym przez srogą klasyczną formułę Dawida, czyż takie postawienie kwestyi nie było na rękę? Wszak w owej epoce nie wolno było mieć osobistej linii, osobistego kolorytu i wogóle kolorytu.

Z jakimże serdecznem politowaniem historyk malarstwa belgijskiego wspomina te pierwsze usiłowania, te pierwsze „wystawy obrazów“ (termin na owe czasy zgoła nowy) gdzie, nieznanego dziś już prawie van Beers'a za naiwne płótno (wjazd Napoleona I. do Antwerpii) mianowano Michałem Aniołem, gdzie konkurował młody Godecharle, stypendysta Fryderyka Wielkiego, gdzie święcili

tryumfy Ommeganck i Herreyns. Z tych skromnych zaczątków jakże wspaniale rozwinął się ruch malarski! A więc nie przesądzajmy faktów.

Wystawa „Cercle'u des femmes artistes“ to pierwsze usiłowanie, to pierwsza chęć wywalczenia sobie osobnego i osobliwego w sztuce stanowiska. Nie będziemy więc bynajmniej stawiać horoskopów na przyszłość. Być może, że za lat sto wystawy „des femmes artistes“ będą popularne, jak dzisiaj samochody i będą zajmujące, jak wszystkie inne wystawy des hommes artistes. To za lat sto. A dziś?

Dziś rzuciwszy okiem na tych ośmdziesiąt kilka obrazów, ma się wrażenie, że są malowane na zadany z góry temat, — kwiatki, ogródki, rzeczki, stajenki, wazoniki, puzderka, martwe naturki, chałupki, dziewczynki, babcie, a wszystko malowane tak właśnie, jak mówię; — zdrobniałe, grzecznie, pracowicie i pilnie. Kto narzucił ten „wybór“ tematów i ten sposób malowania?

Patrzmy szczegółowiej — laleczki japońskie i wazony i mnóstwo przedmiotów szerokich na jednym planie wąskim, jak nitka i studia bez kropli światła a najczęściej lekkomyślnie bezmyślnym pędzlem, Ruysdaelowskiego motyw młyńska, profanowany. Więc wnętrza nieokreślonych pokoi w nieokreślonym świetle, staruszka przy kominku, staruszka obok kominka, kominek „sam w sobie“, Więc astry i chryzantemy i winogrona i kieliszki i orchideje i róże nieżywe, nieszczerze, z aksamitu, może sterylizowane, może z jedwabiu, ze wszystkiego — lecz nie żywe. — Są tu też i nastroje. Artystka maluje zabitego kruka pracowitem stopniowaniem niebieskiego tonu, Ta sama artystka maluje zabitego gołębia odmianą „trupiej“ białości. Każde poruszenie pędzla (naprawdę usiłujące ożywić śmiercią — wypchanego ptaka) chce wywołać nastrój i w rzeczy samej, wywołuje — pobłażliwą wesołość. To znów, owe sławne w Belgji „pays du charbon, pays noir.“ Temu „pays de charbon“ poświęcił Meunier cały swój genjusz, z węgla siłą swego twórczego ducha kwiaty wywołał nieśmiertelne. Przez „pays du charbon“ przechodzą wszyscy malarze belgijscy. A na wystawie des femmes artistes? Ujrzyście słodką masę pistacjową, w której dymią wonne trocizki, co w całości ma symulować tragiczną krainę węgla.

Kto z Belgów nie pamięta martwych natur braci Oyens, kościelnych wnętrza Delaunois? Kto nie zna sławnych „japonaïsseries“ i „bric-à-brac-ów“ czyli inaczej orgii świetlanych Jamesa Ensor'a? Kto nie widział kwitnących jabłoni Clays'a, lub miedzianych garnków Courtens'a? Wszyscy to znają. Ale nikt dlatego, że te rzeczy zna, nie maluje ich drugi raz, po swojemu, tj. tak, jak maluje każdy człowiek, który wcale malować nie umie. Zaś tak, na razie, tworzą les femmes artistes z Cercle'u.

Oglądaliśmy wszystko. Doprawdy, chciałoby się zapytać urocze eksponentki Czy tylko tyle, czy nic więcej nie miałyście do powiedzenia? Czy rze-

czywiście te zdawkowe głupstwa — to jest waszem życiem wewnętrznym, to jest potrzebą waszych dusz, waszem tworzywem? Nie chce się wierzyć w to, niepodobna uwierzyć, jeśli się myśli, że kobieta jest wolnym samodzielnym człowiekiem. Więc zarzut formułuje się inaczej: Dlaczego kłamię? Dlaczego nie chcecie już raz przestać kłamać o sobie? Dlaczego nie chcecie być samymi sobą?

Sto lat temu sztywny, drewniany Jan van Beers święcił tryumfy w Antwerpii... Czas jest niewyczerpany. Miejmy więc nadzieję i nie przesądzajmy przyszłości des femmes artistes.—

Juliusz Kaden.

Prof. dr. Benedykt Dybowski: Z powodu „odrodzenia filozofii.“

O odrodzeniu filozofii wypowiedział swoje zdanie p. dr. Bronisław Biegeleisen. Czy przemawia on w imieniu naszych wszystkich filozofów, i czy filozofowie nasi zgadzają się z nim w kwestyi przez niego traktowanej, nie wiem jedno tylko dla mnie jest rzeczą jasną, że przyrodnicy na jego zdania przystać nie mogą. Co do mnie specjalnie, to pragnę tutaj streścić pogląd filozofów według relacji p. B. B. i obok niego przedstawić pogląd przyrodniczy, w zarysie jak można najkrótszym, według własnych moich zapatrywań na tę kwestyę.

1) POGLĄD FILOZOFÓW, WEDŁUG RELACJI P. BRONISŁAWA BIEGELEISENA.

Sądzone, że filozofia stała się rzeczą zgoła niepotrzebną. Zdanie Helmholtza, że rzeczywistość, przedstawiona przez nauki ścisłe, wierne swym prawom, okazała się o wiele wspanialszą i bogatszą, aniżeli to potrafiły oddać wysiłki mistycznej fantazy — miało wielkie znaczenie przy sądach o potrzebie filozofii i jej znaczeniu. Przyrodnicy mają do dziś dnia głębokie przekonanie, że są tylko nauki powszechnie, ale filozofia, jako nauka nie istnieje. W światopoglądzie przyrodniczym niema miejsca dla filozofii. Znany empiriokrytyk Mach, z dumą twierdził o sobie, że jest tylko przyrodnikiem, a nie filozofem. Że kraina transcendentna jest mu obcą. Zdawało się tedy, że filozofię pogrzebano.

I oto niespodziewanie filozofia na nowo wpływ wywierać zaczyna i powraca do nowego życia. Nawet pozytywni badacze żądają poglądów ogólnych.

sięgających po za analizę nauk przyrodniczych, do wielkich syntetycznych związków życia ludzkiego ze światem. Ci badacze pozytywnie skonstatowali przede wszystkim, że nauki ścisłe nie mają apodyktycznej pewności, jaką im przypisywano, że podstawy nauk przyrodniczych spoczywają na hipotetycznych założeniach. Nauka bez hipotezy obejść się nie może, a czymże jest hipoteza? jest dowodem twórczości umysłu ludzkiego, który nie poprzestaje na samym tylko konstatowaniu i opisywaniu faktów. Francuski uczony matematyk, Poincaré dowiódł, że geometrya nie jest prawdziwą, że wszelka nauka jest prawdopodobieństwem tylko, że czas i przestrzeń nie istnieją, że przestrzeń nie ma w rzeczywistości trzech wymiarów.

Zważywszy wszystkie te okoliczności, widzimy, że filozofia odradza się na nowo. Lecz czy to odrodzenie filozofii nie jest reakcją przeciw naukom przyrodniczym? przeciw ich metodzie ścisłej, chłodnej i spokojnej, kontrolującej samą siebie w każdym słowie, niedopuszczającej żadnej dowolności ani na krok jeden. Nie, dzisiaj byłoby rzeczą śmieszną chcieć powstrzymywać zwycięzki pochód nauk przyrodniczych. Filozofowie stoją i stać chcą przy naukach przyrodniczych, bo wierzą, że one jedne odsłonią przed nami, jeżeli nie teraz to w przyszłości prawdziwy stan rzeczy. Chodzi o coś innego, mianowicie o to, aby nauki przyrodnicze nie wywierały swego wpływu na dziedziny, które do nich zupełnie nie należą. Ale jakie to są dziedziny, które do przyrody nie należą? oto świat historyczno-społeczny. Człowiek jest nie tylko jednostką wyobrażającą, łączy go z rzeczywistością nie tylko sam związek intelektualny, leży w nim jeszcze coś, co nie każe mu poprzestać na teoretyczno-naukowym badaniu rzeczy, stąd powstają pytania o to, co człowiek znaczy, następnie o śmierci i życiu, o szczęściu, o wieczności, o dobrym i złym. Otóż z takich pytań powstaje filozofia, jako próba odpowiedzi na te wszystkie pytania. W taki sposób filozofia jest czymś więcej niż wytworem myślowym, ona powstaje z najgłębszych źródeł życia i pragnie na te źródła oddziaływać. Filozofia nie jest więc sama nauką, której, jak każdej innej, nauczać się trzeba, ale jest naukowym duchem, którego do nauczania się już trzeba ze sobą przynieść. Wszelka filozofia zaczyna się tam, gdzie się kończy nauka, dla tego trzeba przez naukę przejść. Punkt wyjścia filozofii stanowią wyniki nauki, ktoby zaś nimi pogardził, lub zgoła nie znał, naraża się z góry na zgubę. Stosunek duszy do ciała da się tylko rozważać ze znajomością praw energetyki, filozofii i psychologii. Nie można dziś myśleć o etyce z pominięciem wyników statystyki, ekonomii i historii; filozofia nieskończoności musi uwzględniać wyobrażenia, które matematyka o nieskończonych ilościach wytworzyła.

2) POGLĄD PRZYRODNIKÓW, WEDŁUG MEGO WIDZENIA RZECZY.

Jako jedyną dziedzinę dla badań naukowych człowieka mamy tylko wyłącznie przyrodę; na ziemi ziemską, na planetach planetarną, na słońcu słoneczną, we wszechświecie wszechświatową. Na ziemi przyroda objawia się w budowie ziemi, w działalności istot ożywionych: fizycznej, moralnej, duchowej; niema ani jednej dziedziny życia na ziemi, która mogłaby zostać rozpatrywaną z innego stanowiska jak przyrodniczego, jak również nic takiego niema na świecie, coby było nie przyrodą. Żaden przyrodnik, nawet najbardziej ześrodkowany na swoich drobiazgowych badaniach analitycznych, bez hipotez obejść się nie może, bo już przy swoich studjach początkowych poznaje ważność hipotez i teorii. Każda hipoteza, każda teoria jest osnuta na faktach poznanych, jest niejako syntezą dotychczasowych badań, a zarazem służy jako rusztowanie dla budowy dalszego gmachu wiedzy. Żaden przyrodnik nie uznaje, że nauki ściśle mają apodyktyczną pewność, wiedza postępuje wciąż, a skoro postęp i rozwój są zaletami wiedzy, więc o dogmatach tu mowy być nie może. Byłoby to zabójstwem dla wiedzy, gdyby badacze wierzyli w pewność apodyktyczną nauk swych; prawdy zdobyte przez wiedzę, są tylko dotąd takimi, dokąd mogą objaśniać fakty obserwowane.

Każda z gałęzi wiedzy ma swoją filozofię; ma ona swoją stronę teoretyczną i praktyczną czyli techniczną; jedni z uczonych przy badaniach swoich zajmują się przeważnie stroną analityczną, drudzy badają w kierunku bardziej syntetycznym, na koniec inni podnoszą całokształt syntezy do wyżyn filozoficznego poglądu, w taki sposób powstaje filozofia danej gałęzi wiedzy. I tak np. mamy filozofię historii, filozofię chemii, filozofię sztuk pięknych etc. Filozofia danej gałęzi wiedzy jest to ujęcie wszystkich faktów analitycznych w jedną syntetyczną całość.

A teraz na podstawie powyższej przytoczonych rozważań, określamy zadanie filozofii; mianowicie ma się ona zajmować łączeniem wszystkich syntez w jedną organiczną, wspaniałą budowę syntezy — ażeby być filozofem, trzeba nasamprzód być przyrodnikiem, do tego analitykiem, zanim się zabierze do prac syntetycznych; byłoby śmiesznym nieuctwem, gdyby kto chciał przystąpić do syntezy jakiegokolwiek związku chemicznego, nie znając jego analitycznych środków i nie pracując sam w tym kierunku poznania, stąd też dla przyrodników jest wprost niezrozumiałym pogląd, że filozofom chodzi o to, a że by nauki przyrodnicze nie wywierały swego wpływu na dziedzinę, które do nich nie należą, dziedziną zaś tą ma być świat historyczno-społeczny. Czemże jest ów świat? on obejmuje życie społeczne istot ożywionych; więc np. społeczeństwa mrówek, pszczół, ludzi etc. a one mają być wyjęte z pod zakresu badań przyrodniczych, i nie mają

prawa wywierać na nie wpływu. Ale może tu chodzi filozofom o społeczeństwa ludzkie tylko, a i te społeczeństwa były w pewnym perjodzie swego rozwoju czysto zwierzęcemi, więc od kiedy, czyli od jakiej danej chwili mają one być usunięte z zakresu badań przyrodniczych? A teraz znowu zagadnienie „co człowiek znaczy“, czy ono dotyczy człowieka obecnego, kulturalnego tylko; czy także i ludzi o typie Hejdelberskim, lub Neandertalskim, a jeżeli i tych ostatnich zaliczymy do koła badań filozoficznych, to oczywiście rzecz, że i małpy i pszczoły i termity ze swemi społeczeństwami muszą stanąć obok tamtych. Do powyższego rodzaju zagadnień należą i inne, wspomniane przez autora, poruszone jak „o śmierci i życiu, o celu życia, o szczęściu, o wieczności, o dobrem i złem.“ Otóż kwestye wszystkie, o których tu mowa, mają stanowić wyłączne pole dla badań filozoficznych i mają być wyjęte z pod kompetencyi nauk przyrodniczych, a filozofii chodzi o to, ażeby nauki przyrodnicze nie wywierały swego wpływu, bo to są dziedziny, które do nich zupełnie nie należą. W najzupełniejszym tedy przeciwieństwie pozostaje rzeczzone wymaganie filozofii, od innych nie mniej kategorycznych, nie mniej koniecznych, które sam autor wymienił, mianowicie, że punkt wyjścia filozofii stanowią wyniki nauk przyrodniczych, ktoby zaś nimi pogardzał lub ich zgoła nie znał, naraża się z góry na zgubę, tak np. stosunek duszy do ciała daje się tylko rozważać ze znajomością fizjologii, psychologii i praw energetyki. Jeżeli tedy bez fizjologii i dokładnej jej znajomości, nie może filozofia badać stosunku duszy do ciała, to w jaki sposób ma fizjologia nie wywierać wpływu swego na to zagadnienie?

Te i inne sprzeczności, które się wyłaniają z poglądów filozofów na zakres działalności nauki filozofii i jej stosunku do nauk przyrodniczych, trzeba byłoby usunąć. A że autor kończy swój artykuł oświadczeniem, iż dla wszystkich „duchów wolnych“, będą łamy „Widnokręgów“ zawsze otwarte, więc chciałbym, aby tu wypowiedziane poglądy, pobudziły do dalszego i głębszego zastanowienia się nad kwestyą bardzo ważną, jaką jest „odrodzenie filozofii“.

Fala zwrotna transcendentalizmu, która daje się obserwować dzisiaj, oby nie pogrzebała na wieki, odradzającej się rzekomo obecnie — filozofii. „Wzlot po nad rzeczywistości“, są to skrzydła Ikarowe, które nie wytrzymają działalności ciepła prawd wiedzy. Tylko nauki przyrodnicze są w stanie odsłonić przed nami prawdziwy stan rzeczy, one jedne rozwiążą nam zagadki świata, Praca tu cięższa niż przy wzlotach po nad rzeczywistości, lecz tylko droga „per aspera“ wiedzie „ad astra“.

KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCYI..

prof. dr. *Morcin Ernst*: Budowa świata. Lwów. Księgarnia H. Altenberga 1910.
Svante Arrhenius: Jak powstają światy? przełożył prof. dr. Lndwik Brunner.
Warszawa 1910. L. Fiszer.

Bolesław Limanowski: Stanisław Worcell, życiorys. „Książka“ Kraków 1910.

Władysław Studnicki: Finlandya „Książka“. Kraków 1910.

Ludwik Gumpłowicz: Socialphilosophie im Umriss. Insbruck. Wagner 1910.

M. Finkelstein-Ziemiński: Poezje, Warszawa 1910.

B. Bourdon; Giordano Bruno. Lwów 1910. Biblioteka wolnomysłna Nr. 1.

Roman Jaworski: Historje maniaków. „Książka“ Kraków 1910.

OD REDAKCYI: W następnych zeszytach ukazą się między innymi prace: *dra*

Marjana Borowskiego: Fakty i wartości. *Tadeusza Dąbrowskiego*: Mitologia Słowackiego. *Ludwika Kulczyckiego*: Z zagadnień socjologicznych, *dra Manfreda Kridla*: Fizjonomia życia społecznego w Królestwie i utwór *Stanisława Przybyszewskiego*.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. św. Marka 6.

Adres Administracyi: Lwów, ul. Czarnieckiego 3.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i biura dzienników.

Prenumerata kwartalna w Austryi 2 kor. 50 gr., z przesyłką pocztową 2 kor. 70 gr.
Cena jednego zeszytu 50 groszy; w Niemczech kwartalnie z przesyłką pocztową
2 marki 50 fen., cena jednego zeszytu 50 fen.; w Królestwie i cesarstwie kwartalnie
1 rb. 30 kop., z przesyłką pocztową 1 rb. 50 kop.; cena jednego zeszytu 25 kop.

Warszawa
G. Centnerszwer i Ska
Marszałkowska 13.

Lwów
R. Landau
Czarnieckiego 3.

Odp. red.: Maryan Olszewski.

Z drukarni I. Jaegera Lwów pasaż Hausmana 5.

ATELIER

sztuki fotograficznej

„GROTTGER”

założony przy ul. AKADEMICKIEJ 14.
Wykonuje najpiękniejsze fotografie, powiększenia, pastele, oleje, grupy zbiorowe i tableaux po cenach najprzystępniejszych. Fotografie do legitymacji wykonywa się w ciągu kilku godzin. — 5 proc. na Towarz. Szkoły Ludowej.



„SZAROTKA” pierwszorzędna pracownia

kostymów wiosennych i sukien damskich.

Do działu kostymów sprowadzony specjalny krawiec z Warszawy.

Suknie francuskie wykonuje się podług żurnali Paryskich

Z prowincyi stanik na miarę wystarczy. LWÓW, Halicka 20.



NAJNOWSZE

FRYZURY.

Salon do czesania Pań.

Najnowsze Postich Turban — poleca dyplomowany fryzjer męski i damski

Elektryczny aparat do mycia i suszenia włosów. Wszelkie wyroby z włosów. — Upinanie welonów ślubnych.

Józef Haberman

Ul. św. Mikołaja 1. 1. naprzeciw Uniwersytetu.

W. ADAMSKI

LWÓW, HOTEL ZORZA.

SKŁAD DYWANÓW, PORTYER, FIRANEK.
PIERWSZORZĘDNY MAGAZYN DLA URZĄDZEŃ MIESZKAŃ, HOTELI I T. P.

FABRYCZNY SKŁAD **TAPET**

I WSZELKICH DEKORACYI ŚCIAN I SUFITÓW.

W. PRIMUS & S. IGLICKI

we LWOWIE,
ulica JAGIELLOŃSKA 1. 12.

Pierwszorzędna firma dla zakupna materji na meble, portyer, dywanów, firanek, chodników, rozmaitych dekoracyi, oraz lepszych mebli stylowych do każdego rodzaju pokoju.
Tapety. — Własna pracownia TAPICERSKA i STOLARSKA.

Rok założenia 1894.

J. Franciszek Kubessa
skład i wypożyczalnia fortepianów, pianin i harmonium.
Lwów, Rynek 1. 17.

„KURS SZTUKI STOSOWANEJ“

M. WEXÓWNY

LWÓW, — Sakramentek 10/II.

Poleca: kasety, teczki, ramki, półeczki, wykonane robotą, tarso, intarżę, inkrustacją, rzeźbo — wypalaniem. — Poduszki, makaty wytłaczane w aksamicie. — Adresy, dyplomy wytłaczane w blasze i skórze.

Pierwszorządna Pracownia

Angielskich kostiumów i sukien damskich

Sezon wiosenny!

Najmodniejsze wykończenia według francuskich i angielskich żurnali. Specjalista amazonek.

Z poważaniem

Józef Dudek, Lwów Sobieskiego 10 II. p.



Józef Badowski
przeniósł swój sklep
i pracownią złotniczą
— na —
ul. Batorego 30.



Lwów Akademicka 4



Lwów Akademicka 4

Pierścionki zaręczynowe,
obrączki ślubne, sygnety
jubileuszowe
poleca najtaniej

EDMUND MARYAN BEER
jubiler i złotnik.

Ferdynand Güttler

MAGAZYN TOWARÓW
MODNYCH

PRZYBORÓW DO KRAWIECZYZNY i HAFTU
we LWOWIE, ulica Halicka 1. 20.

Poleca najmodniejsze

GORSETY — SZALE GAZOWE —
WELONIKI — ŻABOTY — KOŁNIE-
ŻYKI — KRAWATKI — POŃCZOCHY
— GRZEBYKI — TOREBKI — PASKI
PERFUMERYĘ.

Sławne ze swej dobroci rękawiczki „DIANA“

JÓZEF HANAK



stroicieli fortepianów i pianin przy gal. Konserwa-
ryum z długoletnią praktyką za granicą.
KUPIJE, MIENIA, SPRZEDAJE i POŻYCZA FORTE-
PIANY, PIANINA NOWE i PRZEGRANE.

Przyjmuje wszelkie reperacje.
LWÓW, LYCZAKÓW 4. I. p. III. schody w podwórzu
na prawo.

Lwowskie
Liceum Muzyczne

plac Maryacki 1. 10.

Fort. skrzypce, śpiew sol.,
przygotowanie oper,
nauki teoretyczne.

Wyższa szkoła muzyczna
Natalii Szczycińskiej

zostająca pod art. kierownictwem

prof. Jerzego Lalewicza

LWÓW, Teatralna 1.

CASINO de PARIS

stylowe Varieté Etablissement

Lwów, róg ul. Jagiellońskiej.

Codziennie wytworne, ele-
ganckie i bardzo wesołe

PRZEDSTAWIENIE FAMILIJNE.

Początek o godz 8½ wieczorem. W niedzielę i święta 2 przedstawienia.
Wspaniała dekoracyjna sala. — Znakomita kuchnia. — ceny przystępne.

Bilety wcześniej do nabycia w perfumeryi „Reforma“ ul. Trzeciego Maja 15.

Z drukarni I. Jaegera, Lwów Pasaż Hausmana 5.